POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień — Dnia 14-go grudnia 1946 r — Rok VIII. Nr. 50

O NOWE NATCHNIENIE

Milkną muzy wśród oręża — powiadano w starożytności, ale jakże nieprawdziwie, jeżeli chodzi o nasze środowisko. Ostatnia wojna pobudzała żołnierzy polskich do pisania, rodziła poetów, literatów, publicystów i dziennikarzy. Wprawdzie nie pozostawiła głośnych nazwisk, ale nie było dziedziny wojskowej, której by nie opisywały nowe, świeże, zdolne pióra żołnierskie. Pisali lotnicy, spadochroniarze, marynarze, wszystkie bronie i służby wojsk lądowych, pisali żołnierze we wszystkich krajach, na wszystkich polach walk, gdziekolwiek ich los rzucił.

Ale gdy wojna się skończyła, zamilkły te głosy. Prasa pogrążyła się w spekulacjach politycznych, które w naszym położeniu przypominają trochę rozgrywanie wojny na mapie; grono rutynowanych literatów i publicystów znów rozsiadło się na szpaltach emigracyjnych pism, wypełniając je troską ludzi, którzy muszą pisać, ale niezbyt wiedzą — o czym. A żołnierze prawie już nie piszą. Zamilkli.

Skończył się okres życia pełen wielkich nieszczęść, ale i pełen nadziei, pełen bohaterskiego uporu i rozmachu, ogromnych ofiar i wspaniałych zwycięstw. Skończył się — niesmakiem zmarnowanego uniesienia. Poczuliśmy się jak śpiewak, który całą duszę włożył w swoją pieśń, gdy nagle na salę wniesiono herbatę i kanapki, a cała publiczność, słuchająca dotychczas w skupieniu, raptem rzuciła się do filiżanek i talerzy. Śpiewak najpierw nie wiedział o co chodzi, potem ogarnął go wielki gniew, wreszcie nic nie pozostało, jak machnąć ręką i wyjść. To bardzo nieprzyjemne uczucie.

Ponieśliśmy klęskę. Czy naprawdę? Bo wydaje się, że jeszcze nie, że dopiero możemy ją ponieść, jeżeli nie potrafimy wyzbyć się urazów, które w nas pozostawił ogrom przeżytego rozczarowania. Są między nami niektórzy z okaleczoną duszą, śmiertelnie znużeni, sami sobie zawadzający w życiu. Takich jest jednak niewielu i polecamy ich opiece Boskiej.

Ale olbrzymia większość jest zdrowa, a więc musi być duchem niepokonana, żywotna i elastyczna, jak młode drzewo. Takich żołnierzy nieszczęście zabolało, ale nie złamało. Takim życie nie obrzydło, na odwrót — ciekawi i pociąga, może wydaje się czasem bardzo trudne, ale większe trudności już się pokonywało. Tacy żołnierze otrząsają się z niepowodzeń, zaczynają znów nabierać wiary w siebie, w celowość dalszego wysiłku, w możliwości osiągnięcia dużych korzyści.

Życie idzie szybko naprzód i nie wolno nam wlec się na końcu w roli mniej lub więcej bystrych obserwatorów rozgrywających się wypadków. Droga nasza jest prosta, bo kierunek pozostał ten sam. Zmienił się tylko teren, bo przedtem nasza droga podążała poprzez płonący świat wojny, obecnie weszła na skalisty grunt i zmusza nas do żmudnej wspinaczki. Złożyliśmy więc broń niepotrzebną na tym odcinku wędrówki, a bierzemy do garści czekany i do butów przytwierdzamy kolczaste „raki".

Teraz będziemy wrębywać się w skały, pokonywać przewieszki, skradać się na trawersach, wbijać w szczeliny żelazne haki i asekurować na nich linę naszego życia. Miejscami będzie nam bardzo ciężko, zwietrzała skała nie da pewnego chwytu, kolce „raków" poślizgną się w zalodzionym żlebie, ciało zacznie sztywnieć na mrozie, płucom zabraknie tlenu.

Ale skalną ścianę musimy pokonać i musimy zdobyć szczyty, poprzez które prowadzi nasza prosto wytyczona droga do Polski. Jeszcze nie wiemy, jaki widok roztoczy się przed naszymi oczyma ze zdobytego szczytu, ale wierzymy, że to będzie wielka wyzłocona dolina, zielona i ciepła, radosna jak świat bez złych ludzi.

Właśnie weszliśmy na ten nowy trudny odcinek naszej drogi. Tamten, poprzedni, musieliśmy sobie wywalczyć, a ten nowy musimy — wypracować. Czeka więc na nas trud, żmudny i uporczywy, jak każdy krok podczas wspinaczki wysokogórskiej. Tym trudem drobiazgowym i starannym będziemy zdobywali metr po metrze, byle tylko w górę, byle naprzód. Już rozpoczęliśmy: szkoły, kursy, wyszkolenie, pierwsze próby i pierwsze doświadczenia na polu pracy zarobkowej, zdobywanie warsztatów, wywalczanie sobie praw do ludzkiego życia, łączenie się w zwarte szeregi społeczeństwa zorganizowanego na podstawach demokratycznych, wytwarzanie nowych rzeczy, praca twórcza, która stopniowo będzie wzrastała w efekty.

Wraz z okrytymi chwałą sztandarami złożyliśmy w Muzeum Wojskowym nasz wojenny romantyzm i zaopatrujemy się na dalszą drogę w nieodzownie potrzebny pozytywizm. Ale jak już podobne chwile w naszych dziejach wykazały, ten pozytywizm nie ustrzeże się od pewnej dozy romantyzmu. Nasz pozytywizm był zawsze cieplejszy od innych, zawsze mienił się barwami uczucia, zawsze budował gmachy, tworzył placówki gospodarcze, podnosił stopę życiową, szerzył oświatę — nie z egoistycznego wyrachowania wyznawców pieniądza, ale z miłości do kraju. Dlatego jeden z naszych największych pozytywistów — Bolesław Prus — był... romantykiem. To jest nasz polski styl, nasz polski duch, i nasza największa siła, chociaż nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę.

Wydaje mi się, że wielu młodym piórom, młodym pisarzom zabrakło tematu i natchnienia, ponieważ nie otrząsnęli się jeszcze po wielkiej zmianie, która nastąpiła i nie uświadomili sobie, że nasza droga trwa, ta sama droga, wzniosła i szlachetna, prosta i konsekwentna, ofiarna i skuteczna, tylko teraz przebiega przez inny fragment przestrzeni, którego nie spodziewaliśmy się podczas poprzedniej wędrówki. Uświadomienie sobie nowych zjawisk i zrozumienie ich wielkości dotknie tych stron duszy, które skłonią znów rękę, aby sięgnęła po pióro.

Drogi naszej twórczości literackiej powinny potoczyć się w tym samym kierunku, co i poprzednio tylko w wśród innego krajobrazu. Poeci zaczną dobierać rymy do precyzyjnej tokarki, zamiast do cekaemu, do fachowego kunsztu, zamiast do szturmu na bagnety. B. reporterzy wojenni rozbiegną się w poszukiwaniu nowych warsztatów lub placówek handlowych, aby zdobyć materiał na ciekawe reportaże. Człowiek codziennej pracy twórczej zajmie w utworach miejsce walczącego żołnierza i autor w pierwszej chwili ze zdziwieniem odkryje, że w polskim robotniku może być tyleż odwagi, bohaterstwa i patosu, co i w żołnierzu. Bo droga jest ta sama — zmienił się tylko krajobraz.

Wojna zostawiła nam bogate wspomnienia, ale one nam życia nie wypełnią. Nas interesuje teraz przyszłość, praca, wiedza i świat, w którym przebywamy. Polska nie ogranicza się tylko do wojen, ale jest pełnią naszego życia. Tak samo nie ogranicza się tylko do jednego obszaru geograficznego, bo jest wszędzie tam, gdzie są Polacy. Polak wartościowy, Polak bez wahań, wytwarza wokół siebie polskość, bo jest jej twórczym czynnikiem, a nie tylko biernym odbiorcą.

Bierzmy przykład z Brytyjczyków, którzy przebywając w obcym środowisku, daleko od swego kraju, tworzą swój własny „*home*", a pobyt na obczyźnie poświęcają zdobywaniu wartości materialnych i duchowych, zamiast kultywować tęsknotę i rozdrażniać chwilowe niedomagania duszy.

Świat, w którym obecnie żyjemy, w czasowym oddaleniu od naszego kraju, nie jest jednakże tak obcy jak się to może wydawać. Trzeba go tylko lepiej poznać, a przede wszystkim chcieć poznać. W świecie tym żyje co najmniej 1/5 narodu polskiego, wszędzie można natrafić na ślady pobytu i działalności Polaków, wielkich podróżników, jak Beniowski, Strzelecki, Rogoziński, wielkich artystów, jak Chopin, Korzeniowski, Paderewski, wielkich uczonych, jak Curie-Skłodowska, lub chociażby sławny w Ameryce Płd. prof. Domeyko. Sława Polski za granicą nie ogranicza się jedynie do Kościuszki i Pułaskiego.

My dlatego przede wszystkim tak dzielnie, tak ofiarnie bronimy zawsze kultury zachodniej, że sami ją tworzyliśmy i tworzymy. Pora więc rozszerzyć nasz ścieśniony wojną horyzont na pełną przestrzeń życia polskiego.

Jeżeli znajdziemy w niej nowe natchnienie, droga nasza nie zboczy z wytkniętego kierunku, będziemy Polskę budować wokół siebie wszędzie gdzie nas los rzuci, aż narastająca wokół nas Polska na obczyźnie połączy się z Macierzą.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Następny, świąteczny numer (51–52) *„Polski Walczącej" ukaże się w zwykłym terminie, będzie zawierał dwanaście stron druku i będzie kosztował sześć pensów.*

Na jego treść złożą się następujące prace: specjalnie dla „Polski Walczącej" napisane „Rozważania świąteczne" *Douglasa Woodruffa*, artykuły prof. *Stanisława Strońskiego*, *Stefanii Zahorskiej* i *A. W. Konarta*, szkic historyczny gen. *Mariana Kukiela* o Józefie Sułkowskim, wspomnienia wigilijne *Marii Danilewiczowej* i *Józefa Garlińskiego*, opowiadanie *Antoniego Hellera*: „Spadochroniarz na choince", utwory poetyckie: *Antoniego Bogusławskiego*, *Mariana Czuchnowskiego*, *Jerzego Faczyńskiego*, *Adolfa Fierli*, *Beaty Obertyńskiej*, *Eugeniusza Romiszewskiego* i *J. A. Teslara*; opracowanie plastyczne *prof. Wojciecha Jastrzębowskiego*.

PRZYSZŁOŚĆ EUROPY ŚRODK.-WSCHODN.

Od wybuchu wojny kraje Europy Środkowo-Wschodniej przeszły przez koleje zmienne i tragiczne, które sprawiają, iż jest ona chyba najbardziej doświadczoną przez los częścią Europy. Wycierpiała ona dwa wielkie obozy koncentracyjne dwu totalizmów, których współpraca zamieniła się w konflikt, by teraz ponownie przekształcać się we współdziałanie, na innych wprawdzie warunkach, lecz dla tego samego celu.

Proces podboju obszaru Międzymorza, obszaru między Bałtykiem, Adriatykiem, Morzem Egejskim i Czarnym, dokonany przez współpracujące ze zobą imperializmy niemiecki i sowiecki spowodował zróżniczkowanie narodów tego obszaru na trzy zasadnicze grupy. Probierzem jest tutaj ich stosunek do zagadnienia niepodległego bytu i konieczności obrony wolności z bronią w ręku.

Spośród czterech państw, które zajęły miejsce w rzędzie t.zw. Zjednoczonych Narodów (Polska, Jugosławia, Grecja, Czechosłowacja), trzy pierwsze okupiły to zbrojnym oporem całego narodu, podczas gdy Czechosłowacja została wywindowana do szeregu państw alianckich z jednej strony zręczną grą dyplomatyczną swych przedstawicieli za granicą, z drugiej zaś czynną, a politycznie bezinteresowną pomocą Polski, głównie dzięki osobistej interwencji gen. Sikorskiego.

Trzy państwa bałtyckie wpadły w matnię sowiecką, poprzez układy o nieagresji i współpracy ze Związkiem Sowieckim, i faktycznie nie były w stanie stawiać zbrojnego oporu. W czasie wojny lat 1939–1945 pozostały technicznie neutralne.

Trzy kraje naddunajskie: Węgry, Rumunia i Bułgaria, najsilniej podminowane gospodarczo i politycznie przez Rzeszę hitlerowską, wepchnięte zostały do obozu państw osi, w roli zauszników.

Zachowanie się społeczeństw obszaru międzymorza pod okupacją niemiecką w znacznym stopniu było przedłużeniem, praktycznym wyciągnięciem wniosków z postawy, jaką zajęły one w momentach dziejowych decyzji. Jedynym narodem, który konsekwentnie oparł się, tak zbrojnie jak i w codziennej pracy podziemnej pod obydwiema okupacjami, zakusom ujarzmienia był — naród polski.

Jedną ze wspólnych charakterystycznych cech przygniatającej większości ruchów podziemnych krajów międzymorza, bez względu na ich formalny stosunek do sprawy sprzymierzonych, jest wysuwanie idei wolnej organizacji Europy Środkowo-Wschodniej w większą, mocniejszą całość, zdolną zapobiec ujarzmieniu jej przez Niemcy, Rosję, czy też w następstwie współpracy obu tych imperializmów.

Jednocześnie z tymi poczynaniami w krajach okupowanych, politycy tych krajów, zmuszeni do przebywania na emigracji, tak pod wpływem nastrojów swych społeczeństw, jak i zachęty ze strony polityków zachodnich poczęli planować przyszłą organizację poszczególnych narodów w większe zespoły. Należy tu zanotować inicjatywę gen. Sikorskiego zbliżenia do Czechosłowacji, która znalazła wyraz w deklaracjach z listopada 1940 i stycznia 1942 oraz poczynania jugosłowiańsko-greckie, uwieńczone oświadczeniem również ze stycznia 1942 roku.

Tak w krajach okupowanych, jak i na emigracji, powstała dość obszerna literatura, naukowa oraz popularna, omawiająca zagadnienia współżycia i współpracy, a społeczeństwa zachodnie, zwłaszcza brytyjskie i północno-amerykańskie poczęły coraz bardziej interesować się pomysłami, mogącymi przyczynić się walnie do uspokojenia kontynentu europejskiego i stworzenia nowego partnera uproszczonej wymiany gospodarczej. Brytyjski instytut zagadnień międzynarodowych, t.zw. Chatham House, rozpoczął poważną pracę przygotowania planu gospodarczego dla Europy Środkowo-Wschodniej jako całości, oczywiście z punktu widzenia brytyjskich interesów gospodarczych. Pomimo wszelkich zmian w koniunkturze politycznej, plan ten jest nadal opracowywany.

Jednakże u schyłku panowania niemieckiego nad obszarem Europy Środkowo-Wschodniej, zaszły wypadki, które postawiły pod znakiem zapytania wszelkie dotychczasowe obliczenia i planowania. Konferencja w Teheranie (grudzień 1943) oraz przechodzenie krajów obszaru Międzymorza pod okupację sowiecką, wytworzyło stan, uniemożliwiający wprowadzenie w życie dobrowolnych, demokratycznych projektów zjednoczeniowych, a doprowadziło do zjednoczenia Europy Środkowo-Wschodniej po raz drugi — za drutami wielkiego obozu koncentracyjnego.

Zanim okupacja sowiecka stała się faktem, Czechosłowacja, jako pierwsze państwo tego obszaru za wczasu i dobrowolnie uznała zbliżający się i wówczas już nieunikniony stan faktyczny, zawierając, w grudniu roku 1943 układ sojuszniczy ze Związkiem Sowieckim. W ten sposób Republika Czechosłowacka jest w zespole państw Europy Środkowo-Wschodniej jedynym, które potrafiło dostosować się do warunków dwóch kolejnych, różnych od siebie okupacji, wyciągając z tego stanu rzeczy niepoślednie korzyści dla siebie, wykazując zdumiewające zdolności przystosowywania się do sytuacji. Dezercja Czechosłowacji przypieczętowała z góry chwilową klęskę planów scalenia Europy Środkowo-Wschodniej i ułatwiła Moskwie zawładnięcie tego rejonu i jego polityczne skłócenie.

Do jakiego jednak stopnia scalanie polityczne i tworzenie szerszych związków gospodarczych leży w geopolitycznej logice obszaru wskazuje fakt, iż polityka Kremla, zmierzająca do utrzymania władztwa na tym terenie nie może się oprzeć naciskowi warunków i raz po raz zmuszona jest wysuwać ograniczone pomysły federacyjne. I tak istnieje cały szereg przesłanek, wskazujących iż, gdyby nie postawa nie dosyć okiełznanej Polski, Moskwa chętnie stworzyłaby bliższe porozumienie czterech państw słowiańskich swego bloku. Zdaje się, że niedawna podróż Tity do Pragi i Warszawy miała właśnie taki cel. W międzyczasie pod przewodnictwem Jugosławii montuje się ściślejsza współpraca z Bułgarią i Albanią. Nie należy również zapominać o projektach unii celnej węgiersko-rumuńskiej.

Jednocześnie z tymi poczynaniami idzie rozgrywka między Moskwą i Zachodem o Niemcy. Przez wysunięcie idei Czwartej Rzeszy, zjednoczonej i odbudowanej pod egidą Sowietów jako ich straż przednia przeciwko mocarstwom anglo-saskim, Kreml chce sobie pozyskać naród niemiecki jako sojusznika w narastającym konflikcie dwu cywilizacji, dwu koncepcji życia.

Z drugiej strony na Zachodzie dojrzewa coraz bardziej świadomość, że ustępstwa, poczynione na rzecz Rosji, głównie właśnie kosztem środkowo-europejskich Niderlandów — nie tylko się nie opłaciły, lecz przeciwnie wzmocniły byłego sojusznika a dziś przeciwnika w decydującej rozprawie, dając mu lepszą odskocznię do rozgrywki o centralny problem Europy — Niemcy.

Zarzucenie linii politycznej Teheran Jałta-Poczdam, które dokonało się na wiosnę b.r. powoduje z konieczności próby zredagowania nowej, bardziej pozytywnej koncepcji urządzenia Europy, na razie przede wszystkim zachodniej, lecz coraz częstsze są głosy upominające się o zaprzedane w niewolę kresy europejskie. Pozostawienie ich bowiem w rękach sowieckich daje im pomost ku Niemcom i możliwości gospodarczo-militarne, gwarantujące im przemożny wpływ na losy całej Europy. Oczywiście głosy te w wielu wypadkach zjawiają się po niewczasie, a biadania są przeważnie obłudne, gdyż pochodzą od rozmaitego typu monachijczyków.

Losy Europy Środkowo-Wschodniej będą rozstrzygnięte w zależności od wyniku toczącej się już gry o Niemcy. Gdyby rozprawa ta wypadła na korzyść Moskwy, lub też zaciągnęła się na dłuższy okres, opanowana przez Sowiety Rzesza stanowiłaby narzędzie do dalszej ekspansji. Mogło by to dać w wyniku pozbawienie krajów Europy Środkowo-Wschodniej, z Polską na czele, tych korzyści terytorialnych i politycznych, jakie uzyskały one w okresie pozyskiwania ich do współpracy z Rosją. Co więcej, układ taki — będący w gruncie rzeczy urzeczywistnieniem marzeń Hitlera i Haushoffera o wielkim eurazjatyckim imperium, z tym tylko, że jego punkt ciężkości byłby nie w Berlinie, lecz w Moskwie — mógłby się stać ryglem zamykającym mniejsze narody naszej części kontynentu europejskiego w obwodzie potężnego imperializmu, eksploatującego je dla swych celów.

Są to widoki koszmarne, jednakże właśnie groza położenia, rozmiary skutków, jakie dla układu sił w świecie może mieć skonsolidowanie się potęgi sowiecko-niemieckiej jest czynnikiem mogącym przyśpieszyć proces trzeźwienia Zachodu i mobilizacji jego sił.

Gdy proces ten posunie się dostatecznie daleko, idea dobrowolnej, demokratycznej organizacji Europy Środkowo-Wschodniej, na zasadzie „wolni z wolnymi, równi z równymi", będzie musiała wypłynąć ponownie na powierzchnię, tym razem już w formie bardziej zdecydowanej i konkretnej. A wówczas otworzą się tak dla Polski, jak i dla jej towarzyszy niedoli z obu koncentracyjnych obozów, niemieckiego i sowieckiego, nowe możliwości działania, wielkie perspektywy, jakich ludy obszaru Międzymorza nie miały chyba od lat pięciuset.

Na chwilę tę winniśmy być gotowi duchowo i organizacyjnie.

M. K. DZIEWANOWSKI

Przegląd tygodniowy

BEZ STALINA ?

Pogłoski na temat ciężkiego stanu zdrowia Stalina stają się zbyt uporczywe i zbyt wiele faktów zdaje się je potwierdzać, by nadal zbywać je jako dowolne domysły.

Niewątpliwie, nie można wykluczyć, że tak jak przed rokiem Stalin po prostu odpoczywa w klimacie łagodniejszym od moskiewskiego i że w końcu powróci do Moskwy, by znowu ująć ster władzy w swe ręce. Tajemnica utrzymywana wokół jego osoby może być częścią wojny nerwów prowadzonej przez Kreml i zmierzać do trzymania świata w niepewności co do sytuacji wewnątrz Rosji. Niemniej jednak można liczyć się z tym, że w niedalekiej przyszłości Rosja będzie pozbawiona Stalina, jego autorytetu i jego żelaznego kierownictwa.

Jeśli Stalin umrze, względnie z powodu choroby wycofa się z czynnej roli — co wówczas? Jakie będą polityczne następstwa jego zniknięcia z widowni?

Świat zachodni wyraźnie oczekuje wielkich wydarzeń wewnętrznych w Rosji, nie tylko zresztą na tle walki o spadek po dyktatorze, ale także w związku z trudnościami gospodarczymi, wstrząsami ideologicznymi i td. Nie wolno jednak poddawać się żadnym złudzeniom i sądzić, że systemowi sowieckiemu grozi zawalenie się. Po śmierci Lenina sytuacja reżimu wydawała się w najwyższym stopniu krytyczna, a jednak z kryzysu tego Sowiety wyszły obronną ręką.

Niemniej jednak trudno sobie wyobrazić, by zniknięcie człowieka, który tak długo sprawował „samodzierżanie" bez porównania większe, niż jakikolwiek z jego carskich poprzedników, mogło nie spowodować głębokich wstrząsów w życiu sowieckim. Niemalże nieuniknioną jest walka o władzę, tak jak po śmierci Lenina. Przy tym kryzys przychodzi w momencie, gdy istnieje wiele powodów do niezadowolenia, które może być wykorzystane przez zwalczających się ludzi i grupy.

ELEMENTY KRYZYSU

Trudno sobie wyobrazić, by czerwoni marszałkowie, których nagle odsunięto niemal całkowicie od wpływów, nie byli niezadowoleni. W Niemczech istniał głęboki konflikt między armią, a partią i SS, coś podobnego istnieje w Rosji pomiędzy armią, a partią i NKWD. Z pewnością nikt z marszałków sowieckich nie jest zadowolony z tego, że kontrolę nad armią objął Bulganin — człowiek, który dostał wprawdzie jako komisarz polityczny tytuł generała, ale nigdy wojny nie widział.

A dalej są masy, które wciąż na próżno czekają na obiecane podniesienie poziomu życia; są tysiące funkcjonariuszy partyjnych objętych czy zagrożonych czystką; są miliony żołnierzy, którzy wrócili z Zachodu i wiedzą, że przez lata karmiono ich kłamstwami i że życie w krajach kapitalistycznych jest bez porównania lepsze, niż w bolszewickim „raju". Wszyscy ci ludzie czekają na jakąś zmianę.

Do trudności wewnętrznych na tle gospodarczym nie będziemy wracali, gdyż była o nich mowa przed tygodniem. Wystarczy przypomnieć słowa Żdanowa, z których wynikało, że Sowiety de facto stały się chwilowo mocarstwem drugiego rzędu.

KONSEKWENCJE W NOWYM JORKU

Ten wewnętrzny kryzys, który grozi poważnym zaostrzeniem się w razie walki o spadek po Stalinie, jest z pewnością jedną z przyczyn bardziej kompromisowej postawy Mołotowa w Nowym Jorku. Nie jesteśmy bynajmniej skłonni przeceniać znaczenia ustępstw, które dyplomacja sowiecka poczyniła; są one nieraz pozorne i nie dotyczą rzeczy naprawdę istotnych. Niemniej nie można zaprzeczyć, że chwilowo istnieje dążność unikania kryzysu, czy zgoła zrywania — stosunków z Zachodem. Nie jest to z pewnością zmiana celów polityki sowieckiej, ale zmiana taktyki i tempa realizacji jest bodajże faktem.

Być może także, iż Mołotowowi, który szykuje się do objęcia spadku po Stalinie, chodziło o to, by zlikwidować różne mniej istotne problemy, jak problem traktatów z b. satelitami, tak aby nie mieć w nadchodzącym ciężkim okresie tego rodzaju niezałatwionych spraw na głowie. Może to być dążenie do rozwiania rozpowszechnionego na Zachodzie poglądu, że jest on bardziej nieustępliwy, niż Stalin i chęć zdobycia sobie w pierwszym, trudnym okresie kredytu zaufania u państw zachodnich.

Ale jest także inne wytłumaczenie obecnej taktyki dyplomacji sowieckiej. Oto wyrażany jest pogląd — np. w artykułach „*The Observer*" i „*The Economist*" — że ustępliwość sowiecka jest następstwem nieustępliwości wykazanej przez Byrnesa i Bevina. Mołotow widział, że już nic więcej nie wytarguje, więc dalsze przewlekanie rozmów na temat traktatów z Włochami i krajami bałkańskimi było bezcelowe.

Teza ta jest wysuwana dla wykazania przeciwnikom polityki „stanowczości" wobec Rosji a zwłaszcza krytykom p. Bevina z *Labour Party*, że polityka ta nie tylko nie zmniejsza, ale zwiększa szanse porozumienia. Niezależnie od tego, jak oceniać ustępstwa sowieckie, to ostatnie stwierdzenie jest na pewno słuszne. Im większa stanowczość, im bardziej ofensywne nastawienie, im silniejsza akcja propagandowa i naciski wszelkiego rodzaju, tym większe szanse osiągnięcia solidnego porozumienia.

OKAZJA, KTÓREJ NIE WOLNO ZMARNOWAĆ

W nadchodzących tygodniach i miesiącach może powstać dla Zachodu szansa przejęcia inicjatywy z rąk osłabionej wewnętrznym kryzysem Rosji i pchnięcia świata na drogę prowadzącą do trwałego pokoju. Byłoby rzeczą katastrofalną, gdyby mocarstwa zachodnie powiedziały sobie: możemy teraz z założonymiad ręcoma zekać na wielkie przemiany w Rosji, dzięki którym wszystko się ułoży.

Właśnie teraz nadchodzi moment dla energicznego działania. Jeśliby w bliskiej przyszłości Zachód podjął zdecydowaną akcję na rzecz rządu światowego i ograniczenia suwerenności narodowej; jeśliby podjęto stanowcze kroki przeciw satelitom bałkańskim Rosji, winnym agresji w Grecji; jeśliby rządy wielkich demokracji rzuciły hasło zorganizowania Europy jako całości; jeśliby zamiast obecnych metod UNRRA stosowanych wobec wysiedleńców, rzucone zostały podstawy wielkiej akcji osiedleńczej i td. — to wówczas można byłoby powiedzieć, że wielka okazja, która się nadarza, nie zostanie zmarnowana. Ale czy można liczyć na taką zmianę postawy Zachodu?

Pewne objawy przechodzenia do ofensywy można niewątpliwie zanotować. Jest nim w szczególności próba osiągnięcia decyzji na temat kontroli energii atomowej. Gdyby dało się narzucić Rosji plan Barucha — w co nie wierzymy — to byłby to wielki krok naprzód ku rządowi światowemu. W każdym zaś razie trzeba skończyć z przewlekaniem tej sprawy, tak, aby bądź plan ten przeprowadzić, bądź też ostatecznie wyjaśnić, że Rosja ten jedyny sposób zapewnienia pokoju w erze atomowej odrzuca i wyciągnąć stąd wnioski.

ZACHÓD I NIEMCY

Posunięciem konstruktywnym jest także układ anglo-amerykański na temat połączenia stref okupacyjnych w Niemczech w jedną całość gospodarczą.

Nie widzimy powodu do bicia na alarm, że znowu jakoby mocarstwa anglosaskie będą pchały pieniądze w Niemcy i odbudowywały je, a w końcu jakiś nowy Hitler wykorzysta ten odbudowany przemysł dla celów wojennych. Obecne posunięcia są tylko wynikiem popełnionych poprzednio błędów; gdyby zamiast niszczyć przemysł niemiecki uruchomiono go na rzecz odbudowy Europy i gdyby nie wywożono urządzeń fabrycznych do Rosji, gdzie wzmocnią niebezpieczny dla świata potencjał wojenny sowiecki, to nie trzeba by było dziś tyle dokładać do stref anglo-amerykańskich. Jest zaś rzeczą zrozumiałą, że Zachód nie chce, by Niemcy były dlań ciężarem gospodarczym, ani też nie zamierza prowadzić dalej polityki płacenia poprzez Niemcy odszkodowań Rosji.

Mniejsze uzasadnienie ma zbyt ostentacyjne podejmowanie w Londynie przywódcy socjalistów niemieckich Schumachera, ale także nie widzimy powodu do alarmów na tym tle... Niemcy są dziś w takim stanie, że jeszcze przez długi czas nie będą groźne dla świata. A mogłyby w ogóle przestać być groźne, gdyby ich sąsiedzi na wschodzie i na zachodzie zorganizowali się w potężne federacje, tworząc razem federację europejską.

Kiedyż do tego przystąpić, jeśli nie teraz, gdy słabnie rosyjskie „nie"?

Londyn, 8 grudnia, 1946

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Prasa brytyjska nadal niewiele pisze o sytuacji w Polsce. W ostatnim tygodniu najważniejszym wydarzeniem w Kraju były aresztowania wśród socjalistów, ale — jak dotąd — na próżno szuka się na ten temat komentarzy brytyjskich, a nawet zwykłych informacji. Nawet socjalistyczna prasa brytyjska nie zareagowała na aresztowanie ludzi o tej samej ideologii.

Również i bezczelność delegata warszawskiego w ONZ Langego, który występuje jako obrońca demokracji przeciw rządowi gen. Franco nie wywołuje naturalnej reakcji. Jedynie katolicki tygodnik „*Tablet*" mocno piętnuje tę ponurę komedię, pisząc:

„Debaty naznaczone są oburzającą bzdurą, gdy satelici Rosji oświadczają, że nie mogą łączyć się z rządem, który nie został demokratycznie wybrany. Ludzie ci podobnie jak cały świat wiedzą, że ich ojcowski rząd w Rosji doszedł do władzy w drodze gwałtu i wojny domowej i od tego dnia po dzień dzisiejszy jest rządem znacznie surowszym i bardziej niereprezentatywnym rządem policyjnym, aniżeli rząd gen. Franco.

„Dziwi nas, że delegat polski tak bezczelnie występuje przeciw rządowi hiszpańskiemu. Obecny rząd w Hiszpanii jest u władzy w wyniku wojny domowej, w której przynajmniej połowa kraju walczyła, by mu dać tę władzę, podczas gdy dosłownie żaden Polak nie walczył o to, by Bierut stanął na czele rządu polskiego i miał dr. Lange za przedstawiciela w ONZ. Prezydent Bierut jest właśnie tym, czym fałszywie twierdzi się, że jest gen. Franco — władcą narzuconym i popieranym przez obce mocarstwo, władcą, którýby upadł, gdyby nie było tego mocarstwa".

Niestety wciąż jeszcze bezczelny tupet Langego i towarzyszy pozostaje bezkarny.

* * *

W prasie francuskiej można dziś znaleźć dużo głosów pełnych zrozumienia dla Polski. Pomimo siły wpływów komunistycznych prawda wychodzi we Francji może częściej na wierzch, aniżeli w W. Brytanii.

Najpoczytniejszy tygodnik francuski „*Le Carrefour*" zamieścił ostatnio na czołowym miejscu wielki artykuł pt. „Generał Anders i jego żołnierze" pióra Romana Fajansa. Artykuł ten obrazujący dzieje Drugiego Korpusu od łagrów sowieckich aż po PKPR, kończy się słowami:

„W chwili, gdy armia polska przestaje istnieć jest rzeczą niemożliwą i nie do pomyślenia, by świat zapomniał o bohaterstwie tych żołnierzy, o ich cierpieniach i poświęceniach. W historii tragicznych lat, które świat przeżył, musi znaleźć się wyprzysłużone miejsce dla tych Krzyżowców, którzy w świecie rządzonym kłamstwem i brutalną siłą do ostatniej chwili, do ostatniej kropli krwi wierzyli w wolność".

Ze swej strony dziennik „*Combat*" w reportażu o wysiedleńcach polskich w Niemczech podaje mocnej krytyce metody stosowane przez UNRRA wobec Polaków, aby ich nakłonić do powrotu. Reporter francuski opisuje szczegółowo haniebne sposoby nam dobrze znane, ale na ogół ukrywane przed opinią Zachodu, wykazując, że wszelkimi sposobami usiłuje się nieszczęsnych DP'ów zmusić do „dobrowolnego" powrotu i w konkluzji oświadcza:

„Czyżby UNNRA miała zamiar „zlikwidować" problem emigrantów polskich nie rozwiązując go? Chcemy wierzyć, że nie jest to ostatnie słowo jej polityki".

I my chcielibyśmy wierzyć, że nie jest to ostatnie słowo. Ale niestety nie jest łatwo w to wierzyć.

LECTOR

Polska pod okupacją: komuniści

Polska literatura dotycząca komunizmu i zagadnień z nim związanych jest bardzo uboga. Obok niewielu książek wydanych w Polsce przed wojną, tylko parę nowych publikacji ukazało się ostatnio na terenie Włoch i Palestyny. W Kraju oczywiście wydano szereg druków; są to jednak tylko wyciągi z dzieł Lenina i Stalina, albo dyskretnie zawualowana propaganda reżimowa.

Dlatego z zadowoleniem należy powitać nową książkę, która ukazała się w Brukseli i stanowi cenny przyczynek dla zrozumienia tego, co w tej chwili dzieje się w Polsce.*) W książce tej opublikowane też zostały liczne, dotychczas nieznane szczegóły działalności komunistów w Polsce w czasie okupacji oraz z życia Polski Podziemnej.

RODOWÓD

Pierwszą część książki autor poświęca nakreśleniu rodowodu komunistów w Polsce. Wywodzą się oni z „Socjal-Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy", która powstała pod koniec XIX-go wieku z połączenia Związku Robotników Polskich i Związku Robotników Litewskich. Organizacja ta była odgałęzieniem podobnego ruchu w Rosji carskiej i stała na gruncie rozbiorów Polski. Dążenie do niepodległości SDKPiL odrzucała jako reakcyjny przesąd i szlacheckie mrzonki. Ten rys charakterystyczny należy zapamiętać, by lepiej zrozumieć dzisiejszą politykę i cele komunistów oraz co jest ich założeniem podstawowym, a co tylko manewrem taktycznym.

U progu Polski Niepodległej, w grudniu 1918, powstaje „Komunistyczna Partia Robotnicza Polski" obejmująca SDKPiL, grupę rozłamową: „PPS-Lewica" i lewy odłam „Poalej Sjon". Z tych to organizacyj pochodzą kolejni poprzednicy Gomółki na stanowisku sekretarza generalnego PPR — Marceli Nowotko i Paweł Finder oraz tajemnicza postać reżimu warszawskiego Saul Amsterdam vel Henrykowski i inni.

W roku 1921 KRPP przyłączyła się do Kominternu i przyjęła nazwę „Komunistycznej Partii Polskiej", która do wyborów sejmowych w roku 1922 wystąpiła pod szyldem „Związku Proletariatu Miast i Wsi", który otrzymał 1,5% ogólnej liczby głosów oddanych, co również warto sobie zapamiętać, patrząc na rolę, jaką komuniści odgrywają w Polsce dzisiejszej.

W roku 1938 partia komunistyczna w Polsce została rozwiązana na mocy decyzji Moskwy, która uważała, że partia ta nie odegrała powierzonej sobie roli.

TAKTYKA

Najciekawsza część omawianej książki dotyczy przedstawienia i naświetlenia roli komunistów w Polsce pod okupacją. Rola ta była ściśle związana z ogólną polityką sowiecką i nie miała nic wspólnego z interesami narodu polskiego. W okresie przyjaźni sowiecko-hitlerowskiej komuniści na terenach przyłączonych do Rzeszy Niemieckiej zawiesili zupełnie swą działalność, a w Generalnym Gubernatorstwie współpracowali z Niemcami w zwalczaniu Ruchu Podziemnego. Dopiero w okresie wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej zaczynają powstawać na terenie Warszawy różne organizacje komunistyczne i zaczynają pojawiać się pierwsze publikacje (do wiosny 1941 r. na 168 pism podziemnych nie było ani jednego komunistycznego!)

W początkach 1942 roku powstała „Polska Partia Robotnicza", która — gdy Armia Czerwona była jeszcze daleko od ziem polskich — podejmuje pierwsze wysiłki zdobycia Polski od wewnątrz rękami Polaków. Partia ta uderza w inny ton, niż jej poprzedniczka KPP, pragnąc dotrzeć do społeczeństwa polskiego głoszeniem haseł patriotycznych i niepodległościowych, a zarzucając całą frazeologię komunistyczną. Akcja PPR podparta zostaje działalnością równocześnie powstałej w Rosji „Radiostacji im. Tadeusza Kościuszki".

Po zerwaniu przez ZSRR stosunków dyplomatycznych z Rządem Polskim w Londynie, równolegle z utworzeniem „Związku Patriotów Polskich" w Moskwie i Armii Berlinga, komuniści w Polsce podejmują kroki celem stworzenia odpowiedniej sytuacji na moment wkroczenia Czerwonej Armii do Kraju.

Przygotowania te polegały głównie na montowaniu „duplikatów" stronnictw politycznych, armii podziemnej i organów państwa podziemnego, co było znacznie ułatwione warunkami życia konspiracyjnego. W tych okolicznościach, po „cudownym rozmnożeniu szyldów" powstaje Krajowa Rada Narodowa, która rzekomo miała reprezentować szereg partyj politycznych, a w rzeczywistości była tworem dosłownie paru ludzi — komunistów i pozyskanych przez nich osób.

Gdy wojska sowieckie posuwają się błyskawicznie ku Wiśle ZSRR ma w swym ręku wszystkie atuty do rozgrywki o Polskę: na tyłach w Rosji — „Związek Patriotów" jako duplikat Rządu, przed sobą, w Posce — duplikaty polskich stronnictw politycznych, duplikaty Armii Krajowej i parlamentu podziemnego w postaci KRN i Armii Ludowej, oraz u boku Czerwonej Armii — wojsko Berlinga, jako odpowiednik Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie.

Z utworzeniem jednak „rządu tymczasowego" Rosja zwleka, pozwalając komunistom na „zainstalowanie się" w Polsce. Dopiero, gdy komuniści „usadowili się" i mieli pełnię władzy w Polsce, dopuszczony został Mikołajczyk, którego udział w „rządzie" nie przedstawiał z punktu widzenia komunistów niebezpieczeństwa i nie był w stanie władzy ich uszczuplić.

W dalszym ciągu autor książki przedstawia wnikliwie przeprowadzanie przez komunistów rewolucji „od góry", wbrew woli i pragnieniom narodu, stopniowe wprowadzanie ich planów i idei przy zachowywaniu starych nazw i posługiwaniu się niekomunistami, powolnymi jednak ich zamysłom. Wiele faktów i wydarzeń w życiu dzisiejszej Polski, które na pozór wydają się przypadkowe i oderwane od siebie autor łączy i wiąże ze sobą, odsłaniając nić polityki komunistycznej, zmierzającej konsekwentnie do swych celów.

LUDZIE

Ostatnia część książki poświęcona jest ludziom reżimu. Dzielą się oni na trzy grupy: na komunistów z przekonania, którzy przed wojną należeli do KPP, dalej na tych, których obecny reżim szybko wyniósł na wyżyny władzy i znaczenia oraz, którzy zostali przez komunistów jedynie „dokooptowani" i w końcu trzecią grupę tworzą ludzie skompromitowani w swojej przeszłości, którym reżim stworzył możność nowej kariery (tu należy Żymierski, skazany przed wojną za nadużycia na szkodę Skarbu Państwa lub Rzymowski-plagiator).

Wartość dla komunistów ludzi tych dwóch ostatnich kategorii polega na ich bezgranicznej uległości i wierności reżimowi, który dał im nową, nieoczekiwaną szansę w życiu.

Pisząc o komunistach takich, jak Bierut, Gomółka, Ochab etc., należących do pierwszej kategorii autor podkreśla ich całkowitą obcość społeczeństwu polskiemu. Są oni nie tylko formalnie obywatelami sowieckimi, ale także duszą swą wierni są oni wyłącznie „ojczyźnie proletariatu" — Rosji Sowieckiej. Dlatego też trudno ich nazywać zdrajcami, gdyż stali się oni raczej cudzoziemcami. Są oni produktem szkoły komunistycznej tak, jak Thorez, Tito czy Dimitrow.

* * *

Książkę omawianą winni przeczytać wszyscy Polacy na emigracji, którzy chcą walczyć o inną Polskę, niż ta — dnia dzisiejszego. By móc walczyć z wrogiem skutecznie, trzeba go najpierw dokładnie poznać i zrozumieć dobrze jego taktykę działania — temu celowi książka J. K. Kwiatkowskiego świetnie służy.

Niestety, jak się dowiadujemy, niewiele jej egzemplarzy dotarło do W. Brytanii, bo znaczna część nakładu tej książki rozeszła się na kontynencie. Mamy jednak nadzieję, że drugi nakład wyjdzie niedługo, aby zaspokoić potrzeby i ciekawość wszystkich.

W drugim nakładzie należało by książkę uzupełnić spisem rzeczy i indeksem. Przy tylu faktach i nazwiskach, które książka zawiera, taki skorowidz byłby bardzo pożądany.

TADEUSZ NALER

*) Jan Krzysztof Kwiatkowski (Ren): *Komuniści w Polsce — Rodowód — Taktyka — Ludzie.* Nakładem Polskiego Instytutu Wydawniczego, Bruksela, 1946. str. 123.

Telefon i Dispersal

Nie jestem bardzo pewny, kto wymyślił przyrząd zwany popularnie telefonem. Może Marconi, może Chopin, może Shakespeare, a może Churchill. Nigdy nie miałem zbyt dobrej pamięci do nazwisk, specjalnie zaś do nazwisk wielkich ludzi. W zamierzchłych czasach szkolnych stale obrywałem „dwóje" z historii. Czasem też i z fizyki. Czcigodni i siwowłosi wykładowcy tych przedmiotów wiecznie mieli do mnie głęboką urazę i niekłamany żal, co w konsekwencji spowodowało moje niesławne przezimowanie w piątej, czy szóstej klasie gimnazjalnej. Złośliwi koledzy twierdzili co prawda, że była to wyłącznie wina mojej matki, która akurat w tym czasie niefortunnie kupiła samochód, przedmiot praktyczniejszy i znacznie bardziej atrakcyjny, niż historia i fizyka razem wziąwszy. Było to zresztą dawno, tak dawno, że doprawdy nie pamiętam kto miał rację.

Obecnie jestem grubo starszy i pomimo, że w dalszym ciągu nie wiem, kto wykoncypował ten zdradziecki aparat, potrafię go już przynajmniej należycie używać. Potrafiłbym również użyć i samochodu, gdybym go posiadał. Były co prawda takie dobre czasy, że występowałem w charakterze właściciela zarówno samochodu, jak i telefonu, ale znów było to strasznie dawno, w okresie niemalże przedhistorycznym.

Telefon miałem przed wojną, piękny, błyszczący, czarny telefon, gdy zrządzeniem losu byłem współpracownikiem i akcjonariuszem pewnej firmy wydawniczej, noszącej moje nazwisko. Samochód nabyłem później, już w Anglii. Właściwie to go nie nabyłem, ale ordynarnie wygrałem w karty od pewnego sympatycznego a pechowego dywizjonowego lekarza, którego imię niech będzie sławione po wieki, ale niech tymczasem pozostanie w tajemnicy. Powiem tylko, że przyjaciele nazywali go Apcio. Ale to już inna historia, jak powiedział Kipling. A może Tetmajer.

Telefon straciłem wraz z firmą podczas zawieruchy wrześniowej pamiętnego roku 1939, samochód sprzedałem w pośpiechu za psie pieniądze, wyjeżdżając z Anglii na Zachodnią Pustynię, gdzie mnie licho i awanturnicza żyłka poniosły. Takie już mam szczęście.

W życiu dywizjonu myśliwskiego telefon zawsze odgrywał poważną i dostojną rolę. Był, jak to się po staropolsku mówi „*a very important person*" (bardzo ważna osoba) — V.I.P. Był niemal tak ważny, jak sam dowódca dywizjonu, choć wszelka władza od Boga pochodzi i dowódca był pierwszy po panu generale. Telefon jednak... Telefon przynosił rozkazy, meldunki, instrukcje. Telefon powoływał i zwalniał z *readinessu* (pogotowie), telefon rzucał upragnione hasło „*released of station*" (zwolniony ze służby). Telefon wzywał na odprawy, zawiadamiał o zwycięstwach i startach. Był po prostu niezastąpiony, czego znów o dowódcach powiedzieć nie mogę, mimo pełnego dla nich szacunku i uznania.

Telefon bywał najzłośliwszy i najprzykrzejszy nad ranem, gdy Bogu ducha winni piloci spali snem sprawiedliwych po wieczorze pracowicie spędzonym w „*Black Horse*" (w „Czarnym Koniu") lub „*Queen's Head*" („Głowie Królowej"). Wiadomo ogólnie, że lokale te nie zajmowały się nigdy sprzedażą lemoniady, wiadomo również, że sen jest najlepszy po wypiciu paru kolejek „*large Scotch and soda*" (duża whisky z wodą sodową). Może być i „*without soda*" (bez wody sodowej). Prawdopodobnie dla tej przyczyny większość myśliwców sypia głęboko i twardo.

W czasach, o których piszę, podczas owej wiosny 1942 roku, zdążyliśmy się przyzwyczaić do egzystencji telefonu, do jego kaprysów i wybryków i do smutnego zjawiska, że przynosił on nam regularnie około godziny trzeciej nad ranem ponurą wiadomość: 306 *squadron to readiness immediately!* (squadron 306 w gotowości do odlotu). — Ponurą nie dlatego, byśmy nie chcieli, czy nie lubili latać na operacje. Broń Boże! Właśnie wręcz przeciwnie. Poranny jednak sen był najsmaczniejszy, a wyłażenie z ciepłych betów nie mogło być nazwane wybitną przyjemnością.

Po stracie majora Wczelika, niefortunnie zestrzelonego nad Caen, dowództwo 306 dywizjonu objął Tadzio Czerwiński. Był to doskonały pilot, serdeczny kolega i człowiek o złotej duszy i gołębim sercu. Pośród swych licznych i różnorakich zalet miał on jedną, bardzo ważną: nie cierpiał telefonu. Miał również i wadę, choć stosunkowo drobną i nieznaczącą: lubił spać dużo, wygodnie i długo. Te dwie rzeczy nie szły w parze i Tadzio miał stale kłopoty i nieprzyjemności, jako że w tych porannych wypadkach jego właśnie przede wszystkim wyrywano z błogiego snu, a dyżurni telefoniści to ludzie bez duszy i natarczywie nieustępliwi.

Owego kwietniowego poranka sen mój był specjalnie twardy i głęboki, z tej prostej przyczyny, że poprzedniego wieczora mój serdeczny przyjaciel Edek Krzemiński oblewał swój dwudziesty piąty „*birthday*" (urodziny) w wytwornej knajpie „*Ye Olde Drunken Duck*" („Stara Pijana Kaczka"). Jasne, że byłem jednym ze współuczestników i głównych konsumentów tej biesiady. „*Party*" (przyjęcie) była solidna, w owych czsach pełno jeszcze było w Anglii najprzeróżniejszych spirytualii, to też nic dziwnego, że poważnie się oburzyłem, gdy o godzinie czwartej nad ranem następnego dnia czyjaś brutalna ręka wyrwała mnie bezlitośnie z objęć snu.

— Nooo, wstawaj-że nareszcie pijanico — dotarł do mej zamglonej świadomości głos, w którym rozpoznałem Tadzia. — Za pół godziny startujemy do Warmwell. Właśnie był telefon z *Operations Room* (pokój operacyjny), proszę ciebie.

Podziałało to na mnie, jak kubeł zimnej wody, wylany w księżycową noc na łeb miauczącego pod oknem kota. Nie zwracając więcej uwagi na Tadzia, który z miną męczennika dobierał się do następnego delikwenta, zerwałem się na równe nogi, by w pięć minut później zasiąść do stołu w jadalni mesy i odwróciwszy się ze wstrętem od talerza dymiących kartofli, przełknąć w pośpiechu kubek gorącego napoju, zwanego optymistycznie herbatą. Nigdy nie miałem nabożeństwa do popularnego sloganu „*Eat more potatoes*" (jedzcie więcej kartofli).

Gdy przybyliśmy na *dispersal*, telefon pouczył nas, że w Warmwell uzupełnimy maszyny i wystartujemy nad Francję. Było to niezupełnie zgodne z prawdą, bo gdy po przylocie napompowano nam zbiorniki benzyną i gdy po odprawie pilotów rozeszliśmy się do samolotów, do Tadzia podbiegł zadyszany szeregowiec z dispersalu i z trudem łapiąc oddech wysapał:

— *Operation postponed, sir, I've just received a message on the 'phone!* (Operacja odroczona. Właśnie otrzymaliśmy zawiadomienie telefonem).

Odkładanie lotu w ostatniej chwili, to tak, jak odjęcie pijakowi kieliszka od ust. Pełnego kieliszka. Lekko skwaszeni zasiedliśmy w baraku do partii naprędce skleconego *bridge'a*, po prostu by zabić dłużący się czas. Ledwie jednak zdążyłem położyć się bez trzech z kontrą po partii, telefon w sąsiednim pokoju zajazgotał złowieszczo.

— 306 *squadron to take-off in twenty minutes* (306 squadron do lotu w ciągu dwudziestu minut) — przerwał nam grę telefonista.

Rzuciliśmy karty na stół i poczęliśmy zwolna dopinać guziki Mae West'ek.

— Ciekaw jestem, proszę ciebie, ile jeszcze zbędnych instrukcji nam przyniesie ten cholerny aparat — burknął pod nosem Tadzio.

Jakby w odpowiedzi zaterkotał dzwonek i za chwilę w drzwiach pojawiła się zaambarasowana twarz telefonisty.

— *I'm sorry, sir, but you are not to take-off. Your squadron will take readiness instead.* (Żałuję, ale Pan nie wyleci, zamiast tego Pański squadron ma być w pogotowiu).

Było tego trochę za wiele nawet dla flegmatycznego Tadzia.

— *What!* — wykrzyknął dramatycznie. — Choleeera, proszę ciebie, zwariowali w tym całym *Operations*. Nie startuję więcej. — Tu Tadzio rąbnął pięścią w stół i warknął w stronę speszonego żołnierza. — *If you bring any more stupid messages I'll kill you!* (Jeśli mi przyniesiesz jeszcze takie głupie zlecenia, to cię zabiję!) Chodźmy skończyć tego *bridge'a*—dodał po polsku.

Reszta dnia zeszła nam monotonnie przy karcianym stoliku. Jedyną atrakcją była półgodzinna przerwa, w czasie tej przerwy dwóch z naszych partnerów zostało poderwanych w powietrze w pogoni za nieuchwytnym Niemcem, który szwendając się na wielkiej wysokości, niewątpliwie starał się nas wyszpiegować i dowiedzieć się, dlaczego gramy w *bridge'a* w Warmwell, a nie we własnej mesie w Church Stanton. Telefon dał znak życia tylko raz, by wieczorem zwolnić nas ze służby.

Złośliwe to bydlę nie pozostawiło nas jednak długo w spokoju. Umieszczony na noc w przewiewnym baraku, licytowałem właśnie w sennych marzeniach dużego szlema z rekontrą, gdy w grobowych ciemnościach ktoś mnie szarpnął za ramię.

— Wstawaj do *readinessu* (pogotowie) Bohdan. Za godzinę startujemy — szepnął mi do ucha śpiewny głos Tadzia.

— Nie wierzę — burknąłem sennie. — Słyszałem tę historyjkę wczoraj rano. Głupie żarty człowieka po nocy budzić.

Tadzio się obruszył:

— Cóż ty głupi myślisz, że ja dla przyjemności z betów wylazłem? Szacunku dla przełożonych nie masz? Wstawaj, cholero, bo cię przez wartownika na *dispersal* każę odstawić. Był telefon z Grupy i tym razem zapewnili mnie, że to naprawdę.

Przeklinając soczyście, lecz bezskutecznie, począłem macać po ciemku za ubraniem. Ktoś litościwie zapalił światło, nie przejmując się bynajmniej brakiem „*black-out'u*" w oknach i w kilkanaście minut byliśmy wszyscy gotowi.

Na dużej ściennej mapie w „*Intelligence Room*" (biuro wywiadu) — wyrysowana już była starannie trasa bombowców i podane czasy startu, nalotu na cel i powrotu do bazy. Tuż obok widniały wypisane kursy dolotu i odlotu oraz szczegóły operowania radiem. Odprawa pilotów zajęła ledwie kilka minut i po sprawdzeniu zegarków rozeszliśmy się do maszyn, które podgrzane i sprawdzone przez mechaników, czekały rozstawione wzdłuż asfaltowej bieżni. Lecieliśmy osłaniać 12 „Bostonów" nad port w Cherbourg.

Lot nie należał do najciekawszych, bo wszystko poszło według planu, jak w zegarku. Wystartowaliśmy na czas, zebraliśmy się do szyku w szerokiej rundzie nad lotniskiem i w kilka minut napotkaliśmy bombowce, by wziąć je pod opiekuńcze skrzydła. Jedyną atrakcją był silny ogień artylerii nad celem, skierowany jednak jak zwykle na bombowce i nie dający się nam we znaki.

W dole poza nami zostały kłęby dymu nad zbombardowanym portem, na horyzoncie przed nami zamajaczył zamglony brzeg angielski z żółcącymi się z porannym słońcu urwiskami Dover. Niemcy pozostawili nas w spokoju.

Nie mogę tego powiedzieć o telefonie. Tuż po wylądowaniu, zanim jeszcze zdążyliśmy wyciągnąć papierosy i z ulgą zaciągnąć się po dwugodzinnej przerwie wonnym dymem „Playersa", znajoma postać telefonisty z *dispersalu* podkradła się chyłkiem do Tadzia.

— *I'm frightfully sorry, sir. Would you take the 'phone, there is a message for you. But don't blame me, sir, I'm not guilty* (Bardzo serdecznie przepraszam. Zechce Pan podejść do telefonu, jest wiadomość dla Pana. Ale proszę nie mieć mi tego za złe, to nie moja wina) — dodał pośpiesznie na groźny gest Tadzia.

Ruszyliśmy leniwie i powoli w stronę *dispersalu*, podążając w ślady naszego dowódcy, który właśnie zniknął wewnątrz, z hukiem zatrzaskując drzwi za sobą. Nie czekaliśmy zbyt długo. Tadzio wypadł z baraku, odrzucił na pół wypalonego papierosa i rozkazał krótko:

— Dopilnować uzupełnienia maszyn. Za dziesięć minut start do Exeter. Nowa operacja!

Do Exeter zdążyliśmy akurat na obiad, ale oczywiście telefon nie dał na siebie długo czekać. Nowy rozkaz z Grupy spowodował, że pozostawiliśmy na stole nienapoczęty „*bread and butter pudding*" (deser, zrobiony z chleba, masła i mleka) w pośpiechu ładując się na ciężarówkę. Plany się zmieniły, startowaliśmy na jeszcze inne lotnisko. Bold Head, znane nam z dawniejszych operacji na Brest. Telefon zadecydował, że wyprawa odbędzie się stamtąd — nowa eskorta „Bostonów", tym razem na lotnisko w Morlaix.

Z pomocą przyszła nam pogoda. Wkrótce po starcie, gdy znajdowaliśmy się zaledwie w połowie Kanału, rozparł się przed nami szeroki wał ciemnych, deszczowych chmur. W parę minut znaleźliśmy się pod nim, mając pułap tuż nad głowami. W kierunku na Francję chmury gęstniały, pułap się obniżał. Poczęliśmy schodzić na dół, dziesięć tysięcy stóp, osiem, pięć.

Gdy wreszcie zamajaczył przed nami brzeg, wskazówka wysokościomierza pokazywała zaledwie dwa tysiące. Stanowczo za nisko dla bombowców, za nisko i dla nas, by utrzymać formację i należycie osłaniać. „Bostony" wreszcie zdecydowały się zawrócić, wyrzucając bomby do morza. Skręt do tyłu robiliśmy już w chmurach i w deszczu, szyki się na moment zmieszały, ktoś się zgubił, ktoś zmylił kierunek.

Jeszcze pół godziny lotu i byliśmy nad Bold Head. Szczęściem wystarczyło nam paliwa, by bez lądowania wziąć kurs do bazy i po dwudniowej nieobecności wylądować na swojskich „*runway'ach*" Church Stanton. Dzień był spędzony pracowicie, należał się nam dobrze zasłużony odpoczynek.

Telefon był innego zdania.

— Grupa zarządziła dzisiaj dla nas nocne loty — oznajmił w *dispersalu* Tadzio, starając się nie patrzeć na nasze wydłużone miny. — Zaraz po kolacji wracamy na lotnisko. Dowódcy eskadr ułożą kolejkę lotów. Mnie proszę wpisać na ostatniego — dorzucił bohatersko.

Z ciężkim sercem odrabiałem moją godzinną pańszczyznę, włócząc się bez celu w okolicach lotniska. Noc była piękna, księżycowa, jasno jak w dzień, lot byłby prawdziwą przyjemnością, gdyby nie fakt, że od pięciogodzinnego siedzenia w „Spitfire" czułem wzmagający się ból w okolicach tuż poniżej krzyża.

Około północy zakończyliśmy pracę i śmiertelnie zmęczeni załadowaliśmy się do samochodu, wracając do domu.

— No, teraz chyba dadzą nam odetchnąć. Może się przy tym telefon popsuje — zauważyłem optymistycznie, wysiadając przed kwaterą i z trudem rozprostowując bolące kości.

W mesie offcerskiej czekała na nas telefoniczna wiadomość:

— 306 *squadron to take readiness at dawn to-morrow* (squadron 306 niech będzie w pogotowiu jutro o świcie).

Nie wiem kto wymyślił telefon. Może Marconi, może Chopin, może Shakespeare, a może Churchill. Musiał to być jednak człowiek niezmiernie złośliwy, wróg ludzkości. Pewnie też nie pijał *whisky*.

BOHDAN ARCT

Gawędy o W. Brytanii

Parlament — partie polityczne

Gabinet sprawuje rządy, ale jest pod stałą kontrolą Izby Gmin oraz Izby Lordów (Anglia wiele zawdzięcza dwuizbowemu parlamentowi; Francja np. miała parlament trzyizbowy w dobie rewolucji francuskiej: duchowieństwo, panowie świeccy, przedstawiciele gmin).

Nie tylko ministrowie muszą zasiadać w *House of Commons*, czyli wybierani są pośród posłów do parlamentu (*M.P.*), ale poza ministrami poszczególnych resortów są jeszcze „*Parliamentary Private Secretaries*", a zatem podsekretarze stanu, którzy wchodzą w skład gabinetu a wybierani są dla utrzymywania stałego kontaktu z Izbą. Są oni niejako wkładem czy aportem Izby do rządu.

Poza tym członkowie gabinetu zasiadają na ławach rządowych (*Government benches*) w *House of Commons*, udzielając odpowiedzi na pytania (*questions*), jakie zadawane są w czasie obrad Izby. Odpowiedzi te są częściowo dawane na piśmie (*written reply*) albo ustnie przez przedstawicieli odpowiednich resortów. Codziennie w czasie sesji parlamentu — ferie *House of Commons* noszą miano *recess* — program obrad podaje pytania członków parlamentu pod adresem rządu.

Po części przeznaczonej na pytania (*question time*), obrady toczą się nad przedstawionymi ustawami (*bills*). Rząd z własnej inicjatywy albo na życzenie Izby urządza kilka razy do roku debaty nad zasadniczymi zagadnieniami: debata nad polityką zagraniczną zagajana jest przez ministra spraw zagr. (*Foreign Secretary*), poczem Izba wypowiada swój sąd przez usta przedstawicieli głównych ugrupowań politycznych, a wreszcie *Foreign Secretary* dokonuje zamknięcia debaty (*winding up the debate*).

Parlament ma swoje odwieczne obyczaje, których opisanie zajęłoby wiele miejsca. Zaznaczmy więc tylko, że wybiera on swojego *Speakera*, którego urząd należy do najwyższych w tym kraju. *Speaker* — który „nazywa się tak dlatego, że sam nic nie mówi", jak to dowcipnie określono — jest stróżem prawa i porządku. Udziela on głosu, nagany, przywołuje do porządku, jeżeli któryś z posłów zagalopuje się zanadto albo ubliży swojemu koledze (należy się zwracać do kolegów posłów, nawet najbardziej zażartych przeciwników, formułką grzecznościową: *my honourable friend*, albo *the honourable gentleman* i td.). Poseł, czyli *M.P.*, który nie „schwyci oka *Speakera*" (*to catch the Speaker's eye*) nie może zabrać głosu. Ponieważ ilość posłów w Izbie wynosi ok. 600, nie jest to rzecz łatwa „schwytać oko *Speakera*". Zaletami *Speakera* są przede wszystkim jego spokój, bezstronność, życzliwość dla wszystkich. Historia Izby zna wielu wielkich i powszechnie czczonych *Speakerów*.

Partia rządząca siedzi w jednym bloku; osobno opozycja. Pierwszej przewodniczy *Leader of the House*, który jest zazwyczaj członkiem rządu (w poprzedniej Izbie Mr. Eden, w obecnej Mr. Morrison); drugiej *Leader of the Opposition* (teraz Mr. Churchill). Opozycja siedzi na osobnych ławach; dalej partia „trzecia", w tej Izbie liberalna, wreszcie drobne odłamy (dwu komunistów w obecnej Izbie) i niezależni (*Independents*).

Izba nie tylko zadaje rządowi pytania, przeprowadza debaty, głosuje za i przeciw ustawom (t.zw. *divisions*), przy czym głosujący „*no*" idą w jedną stronę, „*yes*" (czyli starodawne „*aye*") w drugą; w jej rękach pozostaje los rządu, o ile rząd nie ma stanowczej większości. Przede wszystkim jednak Izba jest wielkim polem praktyki politycznej: nie tyle retoryki, chociaż pamięta ona wielu wspaniałych mówców — w tej wojnie niektóre przemówienia Churchilla przeszły do historii. W Anglii nie można zrobić politycznej kariery nie będąc *M.P.* *House of Commons* jest szkołą polityczną, jest koniecznym krokiem w politycznej karierze. Kto chce się dać poznać jako polityk, musi przejść przez ten alembik.

Wybory do parlamentu (*General Elections*) ustalane są po rozwiązaniu jednego parlamentu, przy czym wniosek taki składa na ręce króla ustępujący gabinet. Taki rząd jest rządem powierniczym czy przejściowym — *caretaker Government* — aż do czasu wyroku wyborów.

Anglia obstaje przy swoim systemie wyborczym i nie przyjęła zasady wyborów proporcjonalnych, które znane są na kontynencie. Na skutek tego w każdym okręgu wyborczym staje do walki kilku kandydatów głównych partyj: w ostatnich wyborach trzy partie oraz niezależni (komuniści słabo obstawiali okręgi wyborcze). Kandydat przeprowadza swoją kampanię w okręgu, przemawiając w rozmaitych punktach; kampanie te płaci czasem partia, z której ramienia kandydat występuje, ale nieraz sam kandydat. Organizują takie kampanie ajenci wyborczy: kandydat płaci poza tym kaucję, która przepada, jeżeli przegra wybory. Zwycięstwo uzyskuje się prostą większością głosów.

System ten sprawia, że wiele głosów niejako przepada, albowiem w ostatnich np. wyborach konserwatyści otrzymali sporo głosów — zestawienie sumy głosów jednej i drugiej partii nie wykazuje tak druzgocącej przewagi *Labour Party* — ale w okręgach *Labour Party* wygrała niejako na punkty. To wywołało katastrofę (*landslide*) konserwatystów. Liberałowie jeszcze gorzej wyszli na tym systemie, albowiem setki tysięcy głosów, jakie padły na nich tu i tam, po prostu nie weszły w rachubę.

W okręgach, w których powstał wakans na stanowisku posła dokonuje się wyborów uzupełniających (*by-elections*), które są nieraz wskaźnikiem, jak nastroje ogółu zmieniają się w czasie sprawowania rządów przez jedną partię. Parlament wybierany jest na lat pięć. Tylko w dobie wojny dawny parlament sprawował swój urząd dalej, albowiem nie urządzono wyborów. Stąd parlament ten zyskał miano „długiego" (*long*).

Mamy dzisiaj do czynienia z trzema partiami politycznymi, przy czym partia liberalna, która na przełomie XIX-go wieku odniosła olbrzymie sukcesy i wprowadziła postępowe ustawodawstwo (m.in. Lloyd George za swoich rządów), doznała największej porażki. Losy tej parii były bowiem związane z wolnym handlem i systemem liberalnym, jaki panował w świecie przed r. 1914-ym. Pierwsza wojna światowa zadała cios śmiertelny liberalizmowi.

Partia konserwatystów (*Tory Party*) poniosła klęskę w r. 1945. Była ta klęska wynikiem rekakcji ogółu na politykę zagraniczną tej partii, politykę, która przywiodła nas do Monachium i olbrzymich klęsk politycznych W. Brytanii; ogół angielski chciał zmiany, w przekonaniu, że należy dokonać dużych reform socjalnych.

Labour Party, oryginalny twór socjalizmu, wzorująca się bardziej na własnych reformatorach angielskich aniżeli na Marxie (odmiana angielska nosi nazwę *Fabianów*, a taktyka ich oparta jest na taktyce wodza rzymskiego zwanego Kunktatorem), wyszła zwycięsko. Ma ona za sobą potężne *Trade Unions* (związki zawodowe).

Przyszłość wydaje się należeć do dwu partyj, a dalsze zanikanie liberałów jest bodaj nieuniknione. Upraszcza to życie polityczne W. Brytanii, które powodowane zdrowym *common sense'm* uniknęło rozbicia i rozproszkowania politycznego takiej np. Francji i innych krajów europejskich — procesów, które przyczyniły się ogromnie do osłabienia ustrojów demokratycznych i ich klęsk w okresie międzywojnia.

JAWNUTA

SPIS RZECZY

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i Obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy!

Mam dla was dzisiaj, moi mili, sensację, przy której blednie nawet demokratyczne żądanie Mołotowa ujawnienia ilości wojsk sprzymierzonych w krajach nie-nie-przyjacielskich.

Sensacja, o której myślę narodziła się w dniu wizyty, jaką złożył Warszawie osobiście profesor Bogdanow-Katkow — gość z Moskwy... Z okazji wizyty oczywiście — według starych recept — nastąpił wykład w sali Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Na tym wykładzie zebrała się — można powiedzieć — cała śmietanka gomółek.

Jedna z gazet reżimowych tak charakteryzuje cel wizyty Bogdanowa-Katkowa:

„Przyjazd jego do Polski wiąże się z groźnym niebezpieczeństwem, jakie zbliża się do granic naszego kraju..."

Przecieracie oczy, obywatelki i obywatele, co? Nie róbcie tego, nie przesłyszeliście się. Słuchajcie tylko dalej, co powiedział Katkow w odczycie a strach was opęta i posiwiejecie z rozpaczy wraz z całą lojalną, prorządową, błagonadiożną widownią.

Katkow wyraźnie oszalał. Stanął na estradzie, łyknął wody z dzbanka, odchrząknął i tak rzecz zagaił bez ogródek:

„Wróg ludzkości posuwa się szybko. W ostatnich latach szczególnie wzbudziły się jego apetyty. Począł się wszędzie plenić w zatrważającym tempie, bijąc wszelkie rekordy płodności..."

Da, ładno! Bogdanow ściągaj za portki Katkowa z estrady, bo obaj pójdziecie pod „stienku". Ale Katkow nie słucha i uskutecznia dalszy ciąg oracji:

„...Ameryka dawno ostrzegała przed tym wrogiem, jednak do tych alarmów nie przywiązywano wagi; dopiero gdy przekonano się o potwornych spustoszeniach podniósł się wielki krzyk w prasie".

W tym miejscu ze sali wychodzi Gomółka, gen. Grosz chowa się pod krzesło, a Borejszę wynoszą zemdlonego. Grabski zaś (wiceprezes Towarzystwa „Przyjaźni") uśmiecha się pogodnie udając, że nie słyszy — lewą dłonią ogarniając lewe ucho. A Bogdanow-Katkow spokojnie ciągnie dalej:

„...Ameryka stanęła początkowo bezradna wobec nowego niebezpieczeństwa, jednak chemiczne metody walki..."

Spychalski nie wytrzymuje nerwowo i woła histerycznie: „Precz z bombą atomową!" Grabski uśmiecha się pogodnie, ogarniając prawą dłonią prawe ucho. Prelegent-gość wygłasza zaś taki passus:

„Wróg ludzkości musiał być nieźle poinformowany o charakterze poszczególnych ludów przed dokonaniem straszliwych spustoszeń..."

W tym miejscu Radkiewicz wyskakuje przez okno, a Katkow przestrzega dalej nieubłaganie:

„Obecnie groźna ta plaga panoszy się swobodnie w całej Europie..."

Przedwcześnie „zorientowani" Janusz Meissner i Strumph-Wojtkiewicz biją brawo myśląc, że istotnie sytuacja już obróciła się definitywnie o 180 stopni, że w Moskwie wybuchła faszystowska rewolucja, a Anders jest już w drodze do Kraju. Nie zważając na brawa, przedziwny gość kończy, jak zaczął:

„...Do Polski tę zarazę już też zawleczono, bo dla szkodnika nie istnieją granice..."

Na sali panuje śmiertelna cisza, którą przerywa cichy szloch złamanej Osóbki. Obłąkany z rozpaczy Żymierski ciska buławę pod portretem Bieruta i z okrzykiem: „Niech żyje Mikołajczyk" — wybiega na ulicę. Wszyscy myślą, że „już się zaczęło"... Bo jakże gość z Kremla i to taka „persona"?

A tymczasem to nie koniec, bo Bogdanow-Katkow ma jeszcze coś do powiedzenia. Wyciąga ostatnią karteczkę i czyta:

„...W taki to sposób 90 lat temu rozpoczął swój zwycięski pochód z plateau meksykańskiego, wzdłuż Gór Skalistych nowy wróg ludzkości — *mały, niepozorny żuczek* czyli *stonka ziemniaczana, atakująca kartofle!* Uczeni nazywają tego żuka „*Chrząszczem Colorado*". Towarzysze i towarzyszki! Od tej nowej agresji Związek Sowiecki uchroni na pewno zaprzyjaźnioną z nim Polskę".

Prelegent schodzi z estrady. Meissner i Strumph szybko „zorientowani" padają do jego stóp z okrzykiem: „Niech żyje przyjaźń polsko-radziecka". Żymierski prędko wbiega na salę, szukając porzuconej buławy, a Grabski nie wiedząc o co idzie — uśmiecha się pogodnie. Na wszelki wypadek.

Moi mili demokraci! Taką prawdziwą „sensację" warszawską chciałem wam dzisiaj opowiedzieć na odmianę zamiast mojej tygodniowej, propagandowej oracji.

Żegnam was aktualnym zawołaniem:

„Chwała ojcu Stalinowi za ratowanie Polski przed agresją — żuczka kartoflanego!"

„Niech żyje opiekun Rzeczypospolitej profesor Bogdanow-Katkow, prezes Sekcji Ochronnej Roślin Akademii Nauk w Moskwie!"

„Precz z „Chrząszczem Colorado"!"

Do usłyszenia za tydzień na tej samej paczce, na tym samym miejscu, o tej porze.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST
Adres Redakcji (Editorial Offices): 52 Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d., kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.
Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 6d. za słowo, dwukrotne 9d. za słowo, trzykrotne 1 sh. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 4d., dwukrotne 6d., trzykrotne 8d. za słowo.
Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.
Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600

Printed for „Polska Walcząca" by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper.